

Jak kastrowano Zachód. Konsekwencje luteriańskiej nauki o małżeństwie

Stanisław Kogut

Reformacja zdesakralizowała małżeństwo. To fakt powszechnie znany. Uznane za sprawę czysto ziemską, wyjęte spod jurysdykcji kościelnej i pozbawione rangi sakramentu, mistycznego i nienaruszalnego węzła – powróciło ono do dawnej, łacińskiej formuły kontraktu. Stało się na powrót jedynie umową cywilnoprawną, w której konkretne zobowiązania stron obwarowane są sankcją nieważności (czy też zerwania) umowy, jeśli by nie zostały dochowane.

To wszyscy wiemy. A nawet, niezależnie od stopnia naszej religijności, godzimy się z tym, że z punktu widzenia państwa i prawa małżeństwo musi być tak właśnie postrzegane. Nie bardzo zdajemy sobie sprawę, jak wielka jest przepaść ideowa pomiędzy protestancką (cywilną?) koncepcją małżeństwa a wizją katolicką, jak odmienna antropologia i teologia stoją u podstaw jednej i drugiej. Można wręcz powiedzieć, że luteriańska krytyka sakramentu małżeństwa jest w istocie odcięciem jednego z dwóch ideowych korzeni chrześcijaństwa: dziedzictwa judaistycznego. Zanegowaniem właściwego dla kultury semickiej i fundamentalnego dla chrześcijaństwa postrzegania Boga i człowieka. A także mężczyzny i kobiety.

Rzadko zastanawiamy się nad wpływem protestanckiej koncepcji małżeństwa na losy kultury i cywilizacji zachodniej. Nad zaskakującą ewolucją, której na przestrzeni kilku stuleci uległo postrzeganie seksualności: od skrajnego purytanizmu do rewolucji seksualnej i współczesnego „genderyzmu”. Ten przewrót dokonał się właśnie na Zachodzie, w krajach kulturowo zdominowanych przez reformację. I **obie** te skrajności mają swoje źródła w reformacji. Taka ewolucja jest naturalną konsekwencją odrzucenia przez Lutra katolickiej nauki o małżeństwie.

W tym szkicu chcę pokrótce pokazać, w jaki sposób luterkańska krytyka sakramentalnego charakteru małżeństwa doprowadziła do fatalnych zmian w postrzeganiu ludzkiej seksualności. Zmian, których istotą jest **pozbawienie ludzkiej seksualności warstwy duchowej**. Duchowa kastracja i spłaszczenie misterium, jakim jest dopełniająca się w akcie seksualnym pierwotna komplementarność mężczyzny i kobiety.

Tekst dedykuję szczególnie tym katolikom, którzy (zazwyczaj w dobrej wierze) stosują w pracy z małżeństwami i narzeczonymi metody, przykłady i schematy zaczerpnięte z literatury protestanckiej. A przecież najwybitniejszym współczesnym myślicielem, który akcentował duchowy wymiar ludzkiej seksualności w nauczaniu Kościoła, był św. Jan Paweł II – Karol Wojtyła. I właśnie jego dzieła warto polecić osobom zaangażowanym w pracę z małżeństwami. *Miłość i odpowiedzialność* czy *Osoba i czyn* są dziś zbyt rzadko czytane – bo niełatwe w formie i treści. A jest w nich przecież kwintesencja katolickiej nauki o człowieku. Lektury takich dzieł pozwalają zachować orientację i nie ulec czarowi zalewających nas dzisiaj poradników „udanych związków”, „dobrych relacji”, „partnerstwa” itp., nader często zakorzenionych w luterkańskiej, niebezpiecznej nauce, w której seksualność zostaje spłycona i sprowadzona do zakresu kilku nauk technicznych (zwłaszcza medycyny i psychologii), sama zaś osoba ludzka – zdeintegrowana.

I
„Jeśli Boga nie ma – to wszystko wolno!” Do takiego wniosku dochodzi Iwan Karamazow, rozważając konsekwencje ateizmu. W podobnym duchu historia odpowiedziała Lutrowi. Próba budowy ładu społecznego przy równoczesnym zanegowaniu katolickiej antropologii: rozumienia Boga i Jego relacji z człowiekiem, była skazana na niepowodzenie. Ostatecznie zaowocowała całkowitym upadkiem obyczajów, zakwestionowaniem idei małżeństwa, atomizacją i dezintegracją społeczeństw. Tym, co widzimy współcześnie.

Jak to się stało? Zaczniemy od początku.

Luteranizm (a bardziej jeszcze kalwinizm) mocno osłabił fundamentalną dla chrześcijaństwa koncepcję człowieka jako istoty

obdarzonej wolnością. Formalnie nie negując tej tezy, wprowadza jednak w ludzkie działanie determinizm, uzależniając możliwość dokonania słusznego wyboru od otrzymanej od Boga łaski. Oczywiście prawda wiary, że „łaska Boża jest do zbawienia konieczna”, rozumiana jest w protestantyzmie bardzo specyficznie i „perwersyjnie”. O ile według katolików człowiek, na którego spłynęła Boża łaska, nie przyjmuje jej w sposób bezwolny, ale świadomie – i jest władny nawet łaskę odrzucić czy zamknąć się na jej działanie – to protestanci uważają, że to łaska „działa” sama, niezależnie od naszej woli. Zaś brak łaski świadczy o „przeznaczeniu na potępienie”. Warto na marginesie zwrócić uwagę, że dla dzisiejszego człowieka koncepcja taka jest trudna do przyjęcia – i zapewne dlatego wizja piekła niemal całkowicie zaniknęła w protestantyzmie, który i w tej kwestii dziwnie wyewoluował: od predestynacji do sielankowej wizji powszechnego zbawienia.

Można powiedzieć, że różnice między katolicyzmem i protestantyzmem w kwestii łaski Bożej sprowadzają się do rozumienia zdania Ewangelii: „Bo wielu jest powołanych, lecz mało wybranych” (Mt 22, 14). Katolik rozumie to w ten sposób, że Bóg wprowadzi „wyciąga rękę” do wielu, ale tylko niewielu za tę rękę „chwyci”. Protestant natomiast – że wprowadzi wielu (wszyscy) potencjalnie „nadaje się” do zbawienia, ale tylko do niewielu „Bóg się uśmiechnie”.

Równocześnie, jak to trafnie ujmuje Paweł Lisicki w swojej książce *Luter – ciemna strona rewolucji* – samo działanie łaski Bożej na człowieka jest w protestantyzmie niejako „bezobjawowe”. Człowiek dotknięty łaską po prostu wierzy. Nic więcej. Katolickie oczekiwanie, że ktoś taki będzie w swoim życiu dobrze postępował, niejako emanując otrzymaną łaską, uchodzi tu za przesąd. Skoro Jezus swą ofiarą odkupił grzechy wszystkich, którzy uwierzą, to im większe są ich grzechy – tym bardziej się „chwala Boża w ich zbawieniu objawia”. Kazus „dobrego łotra” staje się normą, a nie wyjątkiem¹. Jeśli w ogóle w jakiś sposób możemy tu na ziemi dostrzec działanie łaski w tym, na kogo spłynęła, to nie w jego czynach, ale w... życiowym powodzeniu, będącym niejako „przedsmaakiem” raju – widomym znakiem Bożej przychylności.

Równolegle z determinizmem i osłabieniem wolnej woli – osłabia protestantyzm integralność człowieka. Formalnie pozostając

¹ Por. P. Lisicki, *Luter – ciemna strona rewolucji*, Warszawa 2017, s. 98.

wciąż osobą, w rzeczywistości zostaje tu człowiek „rozbity” na poszczególne sfery – warstwy swej egzystencji. Takie rozbitcie jest efektem przyjęcia specyficznej wizji Boga i dzieła Stworzenia, powstałej w wyniku podjętej przez Lutra, dość prymitywnej próby uproszczenia subtelnej, scholastycznej teologii. Dobrze o tym pisze ks. prof. Tadeusz Guz w artykule *Antykatolicka koncepcja małżeństwa według Marcina Lutra* („Nasz Dziennik”, 10.11.2014): Luter, odrzucając scholastyczne niuanse, skłonny jest traktować Osoby Boskie jako poszczególne „własności” czy „sfery działania” Boga (kwestionując tym samym ich wspólną naturę). Samo zaś dzieło Stworzenia postrzega jako „proces wewnątrz Boga” – prostoduszenie argumentując, że skoro pierwotnie istniał tylko Bóg, nie mogło istnieć żadne „na-zewnątrz-Boga”, gdzie Bóg mógłby tworzyć. Bóg zostaje więc „zdezintegrowany”, a świat przedstawiony jako „wewnątrz-boska” machina, w każdej swojej części i aspekcie przeniknięta „Bożym duchem”. W tak rozumianym świecie nie są istotne hierarchie (bo Bóg wszystkim „ręcznie” steruje), nie są też istotne poszczególne integralne całości. W przypadku człowieka – harmonia i ład poszczególnych jego „części”, konstytuujące osobę ludzką i decydujące o jej właściwym funkcjonowaniu, przestają być konieczne. Ich miejsce zajmuje... Boża łaska. Warto również zauważyć, że w tak rozumianym świecie nie ma miejsca na pojedyncze, oddolne i celowościowe równocześnie procesy. Pozostaje alternatywa: albo Boża interwencja, albo chaos. Tłumaczy to tak zażarte w zachodnim (protestanckim) świecie spory o teorię ewolucji. Ludziom ukształtowanym przez protestancką mentalność nie mieści się w głowie, aby zachodzące w świecie zmiany mogły być równocześnie „spontaniczne” i zgodne z odwiecznym planem. Jedyna dla nich zrozumiała alternatywa to albo kreacjonizm, albo przypadkowość zachodzących przemian.

Wracając do kwestii człowieka: wydaje się, że koncepcja luterńska dobrze współgra z kartezjańskim rozróżnieniem na *res extensa* i *res cogitans*. Człowiek zostaje „podzielony” na poszczególne, niezazębiające się i całkowicie niekoherentne sfery. W szczególności niemożliwe okazuje się „przeniknięcie przez rozum” i „ucywilizowanie” tych sfer człowieka, które na ogół nazywamy „zwierzęcymi”. Z jednej więc strony jako niepodatne na wyższe wartości zawsze będą one ciągnąć nas w dół. Z drugiej strony jako

stworzone przez Boga są zgodne z Jego wolą – a więc folgowanie im i zaspokajanie zwierzęcych pragnień również jest... zgodne z Bożą wolą². W ten sposób rozmyta zostaje odpowiedzialność człowieka za nieuporządkowanie np. w sferze seksualnej, a jedynym postulatem wobec zwierzęcych żądż staje się wytyczenie im zamkniętego obszaru – swojego rodzaju „rezerwatu” czy „bezpiecznej strefy”, gdzie mogłyby być zaspokajane bez szkody dla innych pól ludzkiej działalności.

Przystawalność koncepcji luteriańskiej i kartezjańskiej uwidacznia się wyraźnie również w kwestii łaski. Podatna na łaskę (wiary) jest tylko intelektualna sfera człowieka. Jej „wierzę” jest jednak całkowicie obojętne dla sfery zwierzęcej, niezdolnej do takich poruszeń. Stąd bierze się wspomniana „bezobjawowość” Bożej łaski w protestantyzmie.

Za taką zwierzęcą sferę człowieka uznaje Luter ludzką seksualność. Relacje mężczyzny i kobiety widzi on wyłącznie w aspekcie zaspokajania żądż. Według Lutra aktualny wciąż pozostaje stan stosunków damsko-męskich powstały po wygnaniu z Raju (Rdz 3, 16) i o żadnym ucywilizowaniu tych relacji (a tym bardziej ich uświęceniu) nie można mówić. Małżeństwo to według niego po prostu „poletko” godziwego zaspokajania żądż seksualnych – w sposób ograniczony tylko wytrzymałością współmałżonka, z obowiązkiem świadczeń wzajemnych. Nie ma tu w ogóle mowy o jakiegokolwiek więzi duchowej czy emocjonalnej³. Funkcja wzajemnej pomocy oraz prokreacyjna funkcja małżeństwa pozostają, jednak pełnią rolę **drugorzędne** (czyżby tu leżała praprzyczyna demograficznego kryzysu Zachodu?) – podporządkowane podstawowemu celowi: zaspokajaniu żądż.

Czym jest małżeństwo według Lutra, wiele mówi jego stosunek do prostytutki. Jest on niezwykle wrogi. Taki też pozostanie na długo w krajach protestanckich. Luter uważa (zupełnie słusznie), że prostytutka jest zarzewiem dezintegracji społeczeństwa, domeną występku i zbrodni. Równocześnie dopuszcza rozwody – a początkowo nawet poligamię (!) – jako antidotum przeciwko takim właśnie aspołecznym zjawiskom. Małżeństwo ma chronić przed pokusami, a więc jeśli nie daje możliwości pełnego seksualnego wyżycia się, lepiej je rozwiązać i zawrzeć nowe, niż zaspokajając żądze „na boku”. Warto tutaj zwrócić uwagę, że w średniowiecznej

² Por. T. Guz, *Antykatolicka koncepcja małżeństwa według Marcina Lutra*, „Nasz Dziennik”, 10.11.2014.

³ Por. tamże.

⁴ *Sensu largo* – jako określenia całej religii żydowskiej, zarówno w czasach starotestamentowych, jak i późniejszych.

⁵ Rdz 1, 27: „Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Bożego stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę. Po czym Bóg im błogosławił, mówiąc do nich: «Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną; abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi». I rzekł Bóg: «Oto wam daję wszelką roślinę przynoszącą ziarno po całej ziemi i wszelkie drzewo, którego owoc ma w sobie nasienie: dla was będą one pokarmem»”.

Rdz 2, 7: „Wtedy to Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia, wskutek czego stał się człowiek istotą żywą”.

Europie spojrzenie na te sprawy było wręcz odwrotne. Prostytucję tolerowano jako konieczny „wentyl”, którego istnienie zapobiega rozpadowi małżeństw. Bowiem wartość małżeństwa postrzegano jako znacznie przewyższającą jego czysto seksualny aspekt. I nie chodziło tylko o (oczywiste) względy społeczne, ale o wszystko to, co określilibyśmy dzisiaj jako sfery uczuciowe, emocjonalne i duchowe.

II

Luteranizm powrócił do kontraktualnej koncepcji małżeństwa. Jednak to tylko jego warstwa formalna. Czym jest „treść” małżeństwa? Zdaniem Lutra sprowadza się ona do zaspokajania żądz. Tym prostackim ujęciem zerwał nie tylko z dorobkiem chrześcijaństwa, ale również z bardzo starą, wyrażoną w religii żydowskiej tradycją semicką.

Socjolodzy twierdzą, że największymi odkryciami kultury semickiej – koncepcjami, które wywarły wpływ na dzieje świata – są: 1. Koncepcja jedynego, osobowego i transcendentnego Boga-Stwórcy; 2. Linearna koncepcja czasu; 3. Koncepcja małżeństwa jako związku opartego na miłości. O ile związek linearnej koncepcji czasu z faktem Stworzenia świata przez Boga jest dość oczywisty, o tyle kwestia trzecia wymaga kilku komentarzy. Jak zobaczymy, również ona ma swoje źródła w tym właśnie fakcie.

Relacja człowieka do Boga w judaizmie⁴ jest bardzo specyficzna. Po pierwsze – człowiek jest wobec Boga bytem *samodzielnym*. Jest stworzony „na zewnątrz” Boga, obdarzony wolną wolą i wyróżniony spośród innych stworzeń poprzez *imago et similitudo Dei* – stworzenie „na obraz i podobieństwo Boga”. Jak wskazuje Księga Rodzaju (Rdz. 1, 27-29; Rdz. 2, 7)⁵, jest bytem utworzonym w wyjątkowy sposób, obdarzonym specjalnymi prerogatywami i posłannictwem. Równocześnie (i w związku z powyższym) człowiek jest bytem *odpowiedzialnym* wobec Boga, który jest dla niego nie tylko „przyczyną sprawczą”, ale również Ojcem i prawodawcą. Ta odpowiedzialność nie byłaby możliwa bez samodzielności, wolności, a także – podobieństwa do Boga, pozwalającego człowiekowi Jego, Boga, prawo i zamysły *rozumieć*, przynajmniej w pewnym zakresie. Dzięki Bożemu tchnieniu (a przez tę metaforę należy rozumieć otrzymanie duszy, daru życia bezpośrednio od

Boga: otrzymanie duszy „Boskiej”, wyjątkowej, rozumnej) Bóg i człowiek „mówią jednym językiem” – są dla siebie zrozumiali. Używając terminologii platońskiej, można by powiedzieć, że człowiek dzięki posiadaniu duszy rozumnej „uczestniczy” w wyższej, Boskiej rzeczywistości.

Nieco paradoksalnie więc silna odpowiedzialność człowieka przed Bogiem-Ojcem zakłada „partnerstwo” człowieka i Boga. Bóg z człowiekiem (a człowiek z Bogiem) **rozmawia**, dyskutuje, a czasami nawet walczy!⁶

Z tak określonej ludzkiej kondycji wynikają dwa znamienne fakty dla ludzkiej seksualności. Po pierwsze, wyjątkowy i „od-Boski” charakter człowieka obejmuje nie tylko jego duszę, ale rozciąga się na całą cielesność. To specyfika judaizmu, która następnie przeniknęła do chrześcijaństwa. Specyfika pierwotnie zapewne nieuświadomiona, z czasem podniesiona do rangi zasady i wyróżnika kultury judeochrześcijańskiej. Chesterton napisze nawet przewrotnie, że „duszą chrześcijaństwa jest ciało”. Z całą pewnością ugruntowanie takiej wizji dokonywało się w opozycji wobec innych, przeważających politycznie, a wrogich żydom kultur (zwłaszcza greckiej i rzymskiej), wyznających silny dualizm psychofizyczny. Obraz „Boskiego tchnienia” (Rdz 2, 7) to także metafora „uświęcenia” ludzkiej cielesności przez Boga, przeniesienia ludzkiego ciała z rzeczywistości fizycznej (gdzie się zrodziło – z gliny i prochu ziemi) do duchowej. Ciało człowieka, w przeciwieństwie do ciał zwierząt, przeniknięte jest Boskim duchem i przeznaczone do wyższego rodzaju życia. Taka wizja tłumaczy zarazem, dlaczego dla Żydów tak ważna i żywo dyskutowana (por. np. Łk 20, 27-38⁷) była kwestia zmartwychwstania ciała. Grecy w ogóle się nad tym nie zastanawiali, zadowolając się koncepcją nieśmiertelnej duszy.

Po drugie, człowiek, jako byt samodzielny i niezależny, potrzebuje jednak **dopełnienia**. Dopełnienia mężczyzny przez kobietę i kobiety przez mężczyznę. Dokonującego się – z uwagi na integralny charakter człowieka – na wielu polach i we wszystkich „strefach” ludzkiego bytowania. Jednak jego źródłem, sensem i najpełniejszym wyrazem jest seksualne zjednoczenie mężczyzny i kobiety.

Księga Rodzaju, mówiąc, że Bóg stworzył człowieka „mężczyzną i niewiastą”, wyraźnie daje do zrozumienia, że te dwie istoty

⁶ Zob. Rdz. 32, 25-30, walka Jakuba z Aniołem.

⁷ Rozmowa między Chrystusem a saduceuszami – kasus kobiety, która miała wielu mężów.

są względem siebie komplementarne i pełnię swojego człowieczeństwa (a także powołania) osiągają w związku małżeńskim. Posługując się dziwnym dla nas obrazem stworzenia kobiety z żebra mężczyzny, mówi z kolei, że z tego powodu – ze względu na pierwotną jedność mężczyzny i kobiety – mężczyzna staje się ze swoją żoną „jednym ciałem” (por. Rdz 2, 24). „Jedno ciało” – prawdziwa pełnia człowieczeństwa: oto co się naprawdę dokonuje w akcie seksualnym. Nie da się ukryć, że taka koncepcja wprawia nas w lekką konsternację.

Aby nieco rozjaśnić jej sens, sięgnę po przykład z całkiem innej półki. Zapewne większość z nas oglądała film *Zapach kobiety*, z brawurową rolą Ala Pacino. W końcowych scenach filmu główny bohater, płk Frank Slade, na zarzut: „Pan myśli tylko o tym [o seksie]”, odpowiada rozbijając: „A jest w ogóle coś jeszcze?”. Myśl dość zaskakująca w zestawieniu z całą treścią filmu, w szczególności z przemową, którą tenże pułkownik dopiero co wygłosił na forum szkoły, poświęconą wartościom wysokim (a nawet najwyższym) i kwestiom zupełnie zasadniczym. A tymczasem właśnie o to chodzi. O wskazanie, że w seksualności ogniskuje się całe życie mężczyzny: jego godność, honor, świat wartości, jego credo. Sposób, w jaki idzie przez życie, jak traktuje bliźnich i społeczeństwo – jest funkcją relacji, jakie potrafi stworzyć z kobietą. A ostatecznie... jak traktuje kobietę w relacji seksualnej.

Myśl płk. Slade’a – zachowując wszelkie proporcje – bardzo dobrze odzwierciedla hebrajskie intuicje. Określenie: „przez ciało do duszy” tylko w niewielkim stopniu oddaje, jak doniosła jest tu rola relacji seksualnej. Pieśń nad Pieśniami rzeczywiście opiewa fizyczną miłość i namiętność. A fakt, że interpretatorzy tak gimnastykują się, by wskazać jej „wymiar metafizyczny”, tylko dowodzi, jak bardzo cielesny dla biblijnych autorów jest człowiek, jak bardzo naznaczone seksualnością jest jego życie. I jak realny jest Bóg.

Stałym elementem wielu kursów dla narzeczonych jest omówienie różnych rodzajów (poziomów?) miłości małżeńskiej, które powinny być obecne w związku, aby był on „pełny”. Używa się więc greckich terminów *eros*, *philia* i *agape* – oznaczających odpowiednio: miłość fizyczną (namiętność), przyjaźń i miłość ofiarną – dzielenie się sobą z małżonkiem. Dla współczesnego człowieka to bardzo ważne. Przywykł on do traktowania tych pojęć rozłącznie,

jako odnoszących się do zupełnie innych sfer życia. Uświadomienie sobie, że więź małżeńska powinna łączyć je wszystkie, może być dla niego nie lada odkryciem. Tymczasem dla starotestamentowych żydów wszystko to było połączone w naturalny sposób. Zawierało się w sobie. Już sam fakt, że aby dokonać precyzyjnych rozróżnień, używamy terminów greckich – powinien dawać do myślenia. Narodziły się one w świecie psychofizycznego dualizmu. W kulturze hebrajskiej były po prostu niepotrzebne. Bo wszystkie poziomy miłości zawierały się w **samej relacji seksualnej**. Może należałoby powiedzieć raczej: „powinny się znajdować” – czy też: „należą do istoty” relacji seksualnej. W niej bowiem doświadczamy nie tylko ciała drugiego człowieka, nie tylko uczuć i silnych emocji, ale dotykamy samej osoby.

III

Protestantyzm neguje taką „pierwotną integralność” aktu seksualnego. Wywodzący się z protestanckiego kręgu kulturowego psycholodzy zgodzą się zapewne z faktem, że seksualne doświadczenia człowieka silnie oddziałują na jego psychikę i rzutują na całe jego życie, na wszystkich jego płaszczyznach. Tyle tylko, że jako lekarstwo proponują co najwyżej „przepracowanie tematu” i zalecą „higienę” w relacjach, polegającą na unikaniu takich relacji seksualnych, z których możemy (**my** właśnie, bo już nie ten drugi, który nie jest klientem) wyjść poranieni. Uwaga, że relacja seksualna jest ze swej natury ukierunkowana na całościowe dobro człowieka i osiąganie przezeń pełni człowieczeństwa w związku małżeńskim – raczej przez gardło (a i przez myśl) im nie przejdzie.

Przez kilka lat zachwycałem się mądrościami, jakie na tematy damsko-męskie wypowiada niejaki Mark Gungor, protestancki psycholog. Poza niesmacznymi, antykatolickimi wycieczkami, nie bardzo wiedziałem, do czego się można u niego przyczepić. Dopiero pewien mój znajomy uświadomił mi, na czym polega różnica między propozycjami Gungora, a tym, czego nauczał np. Karol Wojtyła. Według Gungora dbałość o seksualną satysfakcję partnera (partnerki) jest **ceną**, jaką się płaci za **własną** satysfakcję. Nie ma tu w ogóle miejsca na myślenie, zgodnie z którym ostatecznym celem aktu seksualnego jest dobro drugiego człowieka – nie tylko seksualne.

Z takim myśleniem związana jest również protestancka zgoda na tzw. ubezplodnienie aktu seksualnego, na co nie zgadza się Kościół katolicki. Związek między integralnym charakterem aktu seksualnego a jego płodnością, sygnalizowany w oficjalnych dokumentach kościelnych (np. *Humanae vitae*), jest niezwykle silnie podkreślony u Karola Wojtyły. *Miłość i odpowiedzialność* czy wygłaszane przezeń katechezy z cyklu *Mężczyznę i niewiastę stworzył ich...* wskazują na bardzo mocny związek między potencjalną płodnością (czy ubezplodnieniem) aktu seksualnego a osobowym (czy przedmiotowym) podejściem do partnera.

Brak integralności aktu seksualnego to jego duchowa kastracja. Tego w istocie dokonała reformacja. Jedyną racją dla regulacji rozbuchanego hedonizmu stał się utylitaryzm – szeroko rozumiane „względy społeczne”. Ten motyw przyświecał zarówno przywódcom radykalnych purytanów, pragnących, w trosce o dobro społeczeństwa, oczyścić życie z wszelkich w ogóle seksualnych pokus, jak i piewcom rewolucji seksualnej. Ci ostatni, postulując wyzbycie się wszelkich hamulców, zachwycali się rzekomą wolnością, jaką daje człowiekowi pigułka antykoncepcyjna. Miała ona umożliwić budowę nowej rzeczywistości społecznej: wyzwolić człowieka z ucisku dawnych hierarchii, niechcianych związków i nieznośnego gorsetu obyczajów.

I jedni, i drudzy zakładali, że ludzka seksualność to dzika, nieokiełznana i niepodatna na żadne argumenty siła, która nie pozostaje w żadnym związku z tzw. wysokimi wartościami. Jest i może być tylko motorem hedonizmu. I jedni, i drudzy nie widzieli w niej żadnej siły twórczej – budującej i cementującej związki, konstytuującej naturalne wspólnoty. W konsekwencji rozpowszechnienia się takiego myślenia człowiek zwątpił w każdą w ogóle wspólnotę, widząc w niej jedynie narzędzie opresji. Pozostał sam ze swoją seksualnością. I nadzieją na zaspokojenie jej w najbliższy weekend z osobą poznaną na imprezie. Albo w domu publicznym. ■